All communications must be addressed:

J. F. SMULSKI & Co.
565 Noble St.
CHICAGO, ILL.

J. F. SMULSKI I Sp.
wydawcy.



Wychodzi co czwartek.

Kosztuje rocznie $1.00. Abonenci Gazety Katolickiej płacą tylko 50 c; do Europy: z Gazetą $3.00, bez Gazety $1.50. Abonament musi być naprzód opłacony. Pokwitowań nie ogłasza się. Gaz. Katolicka sama kosztuje $2,00.

Rok XV. CHICAGO, ILLINOIS, 16go WRZEŚNIA 1897 ROKU. Nr. 37.

Entered at the Post Office of Chicago, Ill. as second class matter. Aprobowany przez Najprzewiel. Arcyb. P. A. Feehan z Chicago.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

KALENDARZ. — Czwartek 16 Września, Ludmiły. Piątek 17 Września, S. d. Pięt. ś. Fr. Sobota 18 Września, S. d. Ryszard. Niedziela 19 Września, Januar. Poniedziałek 20 Września, Eustachego. Wtorek 21 Września, Mateusza. Sroda 22 Września, Maurycego.

Na Niedzielę XIV. po Zielonych Świątkach.

Ewangielia św. Łukasza w rozdziale VII.

Onego czasu: Szedł Jezus do miasta które zowią Naim: a z Nim szli Uczniowie Jego i rzesza wielka. A gdy się przybliżył ku bramie miejskiej, oto wynoszono umarłego syna jedynego matki jego, a ta była wdowa: a rzesza miejska wielka z nią. Którą ujrzawszy Pan, ulitował się nad nią i rzekł jej: Nie płacz! I przystąpił, i dotknął się mar. (A ci co nieśli stanęli.) I rzekł: Młodzieńcze! tobie mówię, wstań. I usiadł on, który był umarły, i począł mówić. I dał go matce jego. I zdjął wszystkich strach, i wielbili Boga, mówiąc: Że Prorok wielki powstał między nami, a iż Bóg nawiedził lud swój.

Tyle jest słów Ewangelii św. na Niedzielę dzisiejszą.

Daleko od Ojczyzny.

POWIEŚĆ.

Ciąg dalszy.

V.

Zielona pszenica zmieniła się w złotawą falę, a kłosy bogate zwiastowały, że są już dojrzałe; lecz ten, co rzucił ziarno, nie przybywał po plon obfity.

Bitens, dopływając często do wyspy,— którą na pamiątkę przyjaciela nazwał Polly — kazał zebrać dojrzałe ziarno i zabezpieczyć mieszkanie w skale, od wpływu słotnej pory.

Gdy ta przeszła, kazał zasiać znów pszenicę na większej przestrzeni i zbudować domek, przylepiony jak gniazdo do tej samej skały, w której były ślady mieszkania.

Pszenica po kilkakroć wyrastała na tej bujnej ziemi, zajmowała coraz to większe przestrzenie, a przyjaciel nie wracał.

Kapitan czwartą część pszenicy użył na rozplenienie jej między mieszkańcami swej wyspy, gdzie trudno rosła; resztę od zasiewów sprzedawał przybywającym z sąsiednich wysp krajowcom. Składał zaś pieniądze z tą myślą, że je kiedyś będzie mógł oddać, temu, który na dzikiej wysepce rzucił pierwsze pszenne ziarno.

— Za te pieniądze przyjaciel będzie mógł popłynąć do tych, za którymi tęsknił — myślał sobie poczciwy Bitens....

Mijały lata, a Polly nie wracał. Przybywający z Sydney mogli Bitensowi tyle tylko powiedzieć, że był tam kiedyś człowiek podobny do jego przyjaciela, lecz co się z nim stało, nikt nie wiedział.

— Zapewne popłynął gdzie dalej, mówiono; zawsze on wspomniał, że prędzej czy później za ocean ucieknie.

— A może i umarł — któż to wie; mu-

siał być bardzo nieszczęśliwym, stronił od ludzi! — dodawali inni.

VI.

Od owego nagłego ukazania się i zniknięcia Pollego minęło lat dziesięć, kapitan przywykł do swojej kolonii i oczekiwał powrotu Harrego, który właśnie skończył uniwersytet w Oxfordzie.

Wśród prac i samotności Bitensa, rozkoszą była Mary, która wyrosła teraz na śliczną modro-oką dzieweczkę. Zawdzięczała mu życie, kochała go też przywiązaniem serdecznem; gdy jednak, zaraz po wyzdrowieniu i wyuczeniu się jako tako języka angielskiego, misyonarz chciał w nią wmówić, że kapitan jest jej ojcem, potrząsała główką i odpowiadała:

— Och, nie; ojciec mój mówiłby taką jak i ja mową, taką jak mówiła moja matka; wszakże ją pamiętam, jechałyśmy do ojca....

— To też kapitan jest twoim ojcem, tylko zapomniał dawnej swej mowy; przekonywał misyonarz.

— Nie, ojciec nie mógłby zapomnieć swojej mowy, bo i ja jej nie zapomnę.

— A z kimże rozmawiać będziesz? — pytano.

— Z kim? z tymi co są daleko; odpowiadało dziecię.

I zwykle wtedy siadała samotnie nad brzegiem morza i śpiewała drżącym głosikiem pieśń, która w ustach jej dziecięcych zdawała się być jakiemś oddalonem echem.

Mary z dziecka wyrosła na prześliczną dzieweczkę, pieśni swych nie zapomniała, tylko głos jej stawał się coraz silniejszy i piękniejszy. Krajowcy czarni i na poły dopiero ucywilizowani utrzymywali, że to pewnie jakieś duchy uczą ją tych pieśni, a czasami matka wychodzi z morza i szepce dziewczęciu swoję mowę do ucha. Mary wywierała nieopisany urok i z każdym rokiem stawała się droższą wszystkim mieszkańcom wyspy; nawet ludzie z karnej kolonii na głos dziewczęcia zaprzestawali kłótni, mówiąc, że ta dziewczyna uratowana z okrętu musi pochodzić z takiego kraju, gdzie umieją mówić wejrzeniem, a do porozumienia się z tymi, co są daleko, pieśni im tylko potrzeba.

Pieśń dziewczęcia czasami brzmiała wesoło, często jednak wśród tej wesołości zaplątała się taka smutna nuta, że słuchającym oczy zachodziły łzami.

— Kto cię uczy ich, dziecino moja? — pytał kapitan, gładząc jej ciemne włosy.

— Kto? czy ja wiem, czasami wiatr zaszumi znajomem mi echem, czasem fala tak uderza o falę, iż słyszę kołatanie własnego serca; zresztą w duszy odzywają się jakieś dźwięki, które muszę koniecznie wyśpiewać. Wszyscy zaś co pamiętali Pollego utrzymywali, że Mary musi być z tego samego co on kraju, bo jak on z morzem rozmawia.

— Lecz on musiał już dawno gdzie zamrzeć! — dodawano z współczuciem.

Raz, gdy mieli przejechać się po morzu, dziewczę, bystrym wzrokiem spojrzawszy na morze zawołało:

— Pędzi parowiec! może wiezie nam Harrego!

— A więc wracajmy — zawyrokował kapitan.

— Wracajmy — rzekła Mary — czepiając się jego ramienia; lecz przyrzecz mi, że chociaż przyjedzie twój Harry, ty zawsze kochać będziesz swoję dzieweczkę? — dodała, spoglądając pieszczotliwie w oczy Bitensa.

Marynarz uśmiechał się, położył dłoń na ramieniu dziewczęcia i rzekł z rozkoszą:

— Zawsze, zawsze, moje drogie dziecię; tylko teraz będę miał was dwoje, a potem.... w świat wylecicie.

Mary zamyśliła się, spuściwszy główkę, a Bitens prosił, żeby poszła do domu. Nie chciał brać ją z sobą do przystani, bo nie

był pewien, co im okręt przywozi. Nie przywiózł im pożądanego gościa; zato dużo osadników karnej kolonii.

Bitens, wśród nawału zajęć, dawno nie był na zielonej oazie; nie miał nawet czasu wypatrywać na morzu okrętu wiozącego mu syna. Wyręczała go w tem Mary; siadała jak zwykle nad brzegiem śpiewając i wpatrując się w dal bezmierną. Raz, gdy morze było wzburzone, zadyszana przybiegła.

— W maleńkiej łódce jakiś człowiek pasuje się z bałwanami! — zawołała.

Wysłano zaraz łódź, nie znaleziono jednak nikogo.

W kilka dni potem Uery, który na zielonej wyspie gospodarował, przepłynął na wyspę Bitensa i rozpromieniony wbiegł do kapitana, wołając:

— Jest, jest — już mówi!

— Kto? zapytał Bitens.

— Ten obcy — ten, co śpiewał dziwne pieśni.

Bitens zmarszczył brwi, usiłując Uerego zrozumieć.

— Polly? — zapytał i twarz mu się rozjaśniła.

— Tak, Polly, ten coście go kazali szukać, kapitanie.

Po chwili Bitens płynął na oazę.

W leżącym przed zielonym domkiem człowieku, trudno było poznać Pollego; głowę miał ogołoconą z włosów, zato długa siwa broda okalała twarz wychudłą i znędzniałą. Oczy miał zamknięte, pierś wznosiła się powoli, jak u człowieka, który po długiem zmęczeniu do sił przychodzi.

— Zkąd on się wziął? — zapytał kapitan, przypatrując się leżącemu.

— Znalazłem go omdlałego w łódce, tuż przy samej wysepce — odrzekł Uery.

— Czyż to Polly? — pytał kapitan z niedowierzaniem.

— Polly, kapitanie; sami się o tem tem przekonacie.

Bitens, pochylił się nad leżącym, chcąc mu się lepiej przypatrzeć.

Usta nieznajomego zaczęły się poruszać, szeptem wymawiał jakiś wyraz, z piersi wybiegło westchnienie, a jednocześnie i wyraz głośniejszy.

— Tak, to on; — rzekł kapitan, usłyszawszy obcy mu wyraz.

— Ciągle to samo powtarza; po tem jednem go poznałem! — mówił Uery tryumfująco.

— Nieszczęśliwy! Uery, weź co potrzeba z mojej kuchni i piwnicy, a przyprowadź go do życia. — Polecił kapitan i odjechał.

Dokończenie nastąpi.

DO CZYNU.

Ojczyzna nasza w okowach jęczy,
Każdą jej cząstkę inny wróg dręczy,
Inny wymyśla prześladowania,
Choć jedna wszystkich myśl k'temu skłania.

A myśl to niska, podła i straszna —
Choć ukrywana, jednakże jasna,
Myśl wytępienia tego wszystkiego,
Co jest wyznaniem ducha polskiego!

Wierni tej myśli, skreślonej z góry
Użyli każdej męki, tortury,
Jak najstraszniejsi kaci, zbrodniarze —
Krwawe jak Neron wznosząc ołtarze:

Ruskie galery, Sybir, Kamczatka,
Pełne Polaków.... Ojczyzna, matka
Ta niegdyś wielkich, sławnych Lechitów,
Ma dzisiaj tylko więźniów, banitów.

Bo tam nas więżą, męczą, wieszają,
Ztąd tysiącami w świat wypędzają,
Wszędzie zaś wszystko, co drogie, święte
Depcą nam, niszczą wrogi zacięte.

Gdy wobec tego dziś Ameryka
Gościnnych progów nam nie zamyka

I gdy tu każdy wolność znajduje,
Czy każdy ważność zmiany pojmuje?

O! nie podobna. — Tu za morzami,
Więcej o sobie dziś pamiętamy,
Nie zawsze pomnąc na przeszłe chwile
I że w Ojczyźnie jęczy serc tyle.

Że bracia nasi, jak wpierw tak teraz
W rozpacz, zwątpienie wpadają nieraz,
Że wszystko, cośmy już przeboleli,
Los ciężki jeszcze między nich dzieli.
A jednak my tu wszystkiem władamy,
Wolność, swobodę zupełną mamy;
Nikt naszych planów nam nie krzyżuje,
Mówi i czyni każdy co czuje.
Gdy nas Austrya, Prusy, Moskale
W Ojczyznie śledzą zapamiętale,
Gdy prawie myśleć nam zabraniają,
Tu wszyscy pole działania mają.
Lecz jakże mało tu się staramy,
Zawładnąć temi przywilejami,
Wyzyskać wszystko dla naszej sprawy,
Zmieniać na lepsze Polski los krwawy?
Weźmy naprzykład prasę tutejszą,
Czyżby nie mogła być szlachetniejszą
I pożyteczniejszą, rozumną więcej,
Broniącą sprawy Polski goręcej?
A wychowanie polskiej młodzieży
Czy nam na sercu u wszystkich leży?
Małoż to z naszych dzieci Anglików,
Nie synów Polski, lecz przeciwników!
Podobnych więcej mamy przykładów,
Niepomni dziejów naszych pradziadów,
Ileż to razy najwyższe sprawy
Święcim dla naszej ambicyi, sławy!
Ileż to wielkich, zbawiennych
Uczciwy Polak nie raz nakreśli!
Lecz rzadko one w czynie odżyją,
Bo się o swary, kłótnie rozbiją.
Lecz dosyć chyba — zakończę na tem
Prosząc by Polak każdy był bratem
Swego rodaka, by ręka w rękę
Idąc, skracali Ojczyznie mękę.
By odtąd nikt dla spraw domowych
Nie zaniedbywał spraw narodowych,
Niechaj na równi wyżsi i z gminu
Wspólnie dla Polski spieszą do czynu.

Toledo, Ohio, 30 Sierpnia, 1897. *W. W. Matecki*

SWIĘTY EUSTACHIUSZ.

Dramat historyczny w pięciu odsłonach.

Przełożył na polskie Ks. J. Gieburowski, C. R.

Ciąg dalszy.

Scena Trzecia.

Pochód żołnierzy, westalek, Flor, Lukan i cesarz Hadryan.

Hadryan (*usiadłszy na tronie*). Pod osłoną bożków państwo rzymskie stało się wielkiem, zwyciężyło i ujarzmiło wszystkie narody, słowem, podbiło cały świat. Także najświeższe zwycięztwo nad Partami bożkom zawdzięczamy; mianowicie Marsowi bożkowi wojny i najmocniejszemu i największemu Jowiszowi. Oddajmy więc mu należną cześć boską i dziękujmy mu, składając pełnemi rękami ofiary na ogniu. Do tego obrzędu wzywam wszystkich i każdy winien to spełnić dobrowolnie.... Święto ofiarne się rozpoczyna (*klasnąwszy raz w rękę*). Śpiewajcie, dziewice westalskie hymn ofiarny na cześć Jowiszowi! (*Westalki śpiewają*).

Hadryan (*który podczas śpiewu Westalek powstawszy z tronu i rzuciwszy się plackiem przed Jowiszem, powstaje*). Przynieście mi kocieł pełen ognia i kadzidło, święty obrzęd rozpoczyna się! (*Cesarz sam, rzuciwszy się jeszcze raz plackiem przed posągiem Jowisza, sypie kadzidło do kotła, po nim czynią to samo kolejno Lukan, Flor i reszta oficerów i żołnierzy podczas czego hymn ofiarny Westalki powtarzają. Hadryan wstępuje znowu na tron i mustruje ofiarujących. Potem przerywając śpiew, pyta się donośnym i szorstkim głosem*): Gdzie jest dowódzca Pla-

cyd? Z pewnością nie przyszedł.... Przyprowadzić mi go natychmiat wraz ze synami i żoną!

LUKAN. Zwycięstwo wprawiło go w pychę, a szczęście i honory, jakie go spotkały w dniu zwycięstwa zawróciły mu głowę.

HADRYAN. Wyleczymy go dzisiaj z pychy. Nie możemy cierpieć pośród nas ducha wynoszącego się.

FLOR. Być może, że z radości, iż odnalazł synów i żonę, zapomniał o dzisiejszym święcie.

HADRYAN. Chyba by nie miał wcale pamięci! Już ja dzisiaj do jego głowy napędzę pamięć.

LUKAN. A już chyba tym dwom jego synalkom zarozumiałości i pychy wybaczyć nie można.... Przed rokiem byli synami chłopa a dzisiaj już są oficerami, szlachcicami, pomiędzy których stary rozdzielił swój wieniec laurowy.

HADRYAN. O synów Placyda nie mam kłopotu; dadzą oni się łatwo nakłonić do mej woli, jak każde młode drzewko.

Scena Czwarta.

Ci sami. Eustachiusz, Teopista, Agapiusz i Teopist.

EUSTACHIUSZ. Bądź pozdrowiony najpotężniejszy cesarzu!

HADRYAN. Dajecie długo czekać na siebie, i dla czego to? Przecież nie zapomnieliście o tem, com wam wczoraj wyraźnie rozkazał?

EUSTACHIUSZ. Nie zapomniałem; słowa cesarskie są wielkiego znaczenia, i dla tego powinny być dobrze obmyślane.

HADRYAN. Czyś postradał zmysły, że tak zuchwale odpowiadasz? Więc ja cesarz rzymski mówię bez namysłu? — licz się ze słowami! — Zresztą bawić się z tobą nie myślę, ani też do twojego wachania się nie przywięzuję wagi. Złóż teraz ofiarę bożkom a mianowicie Jowiszowi! (*wskazując na posąg*). Wszyscy już spełniliśmy ten obowiązek.

EUSTACHIUSZ. Ja nie mogę.

HADRYAN. Nie możesz! Czyż to tak trudne? — przecież parę ziarnek kadzidła wrzucić w ten kocieł, myślę, jest łatwiej, aniżeli mieczem w ręku pokonać nieprzyjaciela, a to potrafiłeś dzielnie ty i twoi synowie.

AGAPIUSZ (*z miną wyzywającą, nieruchomy i z założonemi rękami*). Parę ziarnek wsypać do tego kotła na cześć waszemu Jowiszowi jest wprawdzie łatwem, ale mnie (*z uniesieniem wskazując palcem na siebie*) chrześcianinowi, który czczę Chrystusa, mojego Zbawiciela, Boga wszechmocnego, który poczwarę (*wskazując z oburzeniem na posąg*) Jowisza zamienić by mógł w proch, nie wolno tego uczynić.

HADRYAN (*przerażony z wolna powstając z tronu*).... Poczwarę Jowisza.... nie wolno.... chrześcianinowi! ... Bluźni!.... Czyś oszalał! — Nasz Jowisz mocniejszy jak wasz Bóg! — a kiedy ja cesarz rozkazuję coś, prawa waszego Boga muszą ustąpić memu rozkazowi.

AGAPIUSZ. Co?.... Wasz Jowisz mocny?.... Prawa twoje cesarzu, urzędniku, marny puchu, mają ustąpić prawu Boga Wszechmocnego?.... Jak mocny jest wasz Jowisz, i jak w obec mnie bezsilnym jest twój rozkaz, pokażę ci!.... (*biegnie ku posągowi i woła*): Pokruszę go na kawałki, pokruszę tę poczwarę! (*żołnierze zatrzymują go wołając*):

ŻOŁNIERZE. Oszalał! oszalał! Cesarzu na tortury z nim! (*wszyscy obecni pobledli i wszczynają zamięszanie. Cesarz stoi osłupiony*).

TEOPIST. Cesarzu, przecież jest wyższe prawo i wyższy rozkaz, który mówi: ,,Samemu Bogu służyć będziesz, i nie będziesz brał Bogów cudzych przedemną.''

HADRYAN. Co ja widzę? to wy jesteście zapamiętałymi chrześcianinami!

EUSTACHIUSZ, SYNOWIE JEGO i TEOPISTA. Tak, jesteśmy chrześcianinami, i nie zaprzemy się naszego Zbawiciela Chrystusa!

HADRYAN. Tak?.... to wy jesteście chrześcianinami, i to (*z oburzeniem i donośnie*) śmiecie z taką zuchwałością wyznać przed waszym cesarzem?.... Na mocnego Jowisza, w obec takiej zuchwałości można trupem paść!

EUSTACHIUSZ. Jest naszym obowiązkiem wyznawać wiarę św. otwarcie przed całym światem. A gdybyśmy tego nie uczynili, działalibyśmy przeciwko naszemu sumieniu i grzeszylibyśmy przeciwko Bogu Wszechmocnemu i Najdobrotliwszemu.... Ty cesarzu, wiem, chciałbyś nas gwałtem zmusić, abyśmy działali przeciwko sumieniu, ale nie doczekasz się tego. Możesz nas porwać siłą, miażdżyć kości nasze w torturach, możesz nas porwać i rzucić na pożarcie dzikim bestyom, ale naszej woli nie pokonasz. Owszem, ze łzami radości, pójdziemy wszyscy (*wskazując na synów i na żonę*) na wszelkie męki (*klęka i wznosi ręce do nieba i ze wzruszeniem mówi*) i dziękować będziemy Jezusowi, naszemu Zbawicielowi, że uczynił nas godnymi cierpieć dla Imienia Jego.... (*zbliża się na klęczkach do cesarza*). Cesarzu, zmiłuj się, zmiłuj się, pozwól nam cierpieć dla Jezusa, a z wdzięcznością będziemy tam w niebie prosili Boga, aby ci w nagrodę za to dał zbawienie i koronę niebieską.

HADRYAN (*słuchając słów Eustachiusza z zaciśniętemi ustami i wlepionemi oczyma w ziemię, podnosi potem głowę i z groźnym wyrazem twarzy mówi*): Czy nie poczuwasz się do wdzięczności dla bożków, którzy ci dali zwycięztwo, i sprawili, że odnalazłeś synów twoich i żonę?

EUSTACHIUSZ. Ach! Cesarzu nie jest to łaska bożków, ale łaska Boga Najwyższego, za którą Mu już dziękowałem i dziękować nie przestanę.

LUKAN (*szyderczo śmiejąc się podchwyca*). Co prawdopodobnie długo nie potrwa.

HADRYAN. Mówiłeś, że za niejakiego Jezusa chętnie życie w ofierze poniesiesz. Więc ty czcisz człowieka, którego jeden z moich poprzedników, skazał jako zbrodniarza na śmierć w Jerozolimie, a gardzisz naszymi potężnymi bożkami! Co za nierozum!

EUSTACHIUSZ. Nie tylko, że Go czczę, ale Go ubóstwiam, bo On nie jest zbrodniarzem ale Zbawicielem moim i twoim, i Bogiem, — a waszymi bóżkami (*robiąc giest ręką ze wstrętem*) gardzę, gardzę.

HADRYAN. A ty Agapiuszu, przecież ty będziesz rozsądniejszym niż twój ojciec. Zastosujesz się do mojego cesarskiego rozporządzenia i pokłonisz się Jowiszowi?

AGAPIUSZ. Ha! ha! ha! Czy myślisz cesarzu, że ja jestem tak slabą trzciną, która się skłania w tę lub ową stronę, kiedy nią wiatr zawieje? O, nie! Za łaską Bożą urodziłem się w chrześciaństwie i też za łaską Bożą w niem pozostanę niezłomny, — a już w zabobony wasze pogańskie wdawać się nie będę.

TEOPIST. Aby ci oszczędzić, cesarzu trudu, nie pytaj mnie o to, co ja myślę. Wiedz, że jestem pełen tego samego ducha co mój brat Agapiusz, mój ojciec i moja matka.

HADRYAN. Na wszystkich bogów, czy złe wstąpiło w was, czyście oszaleli! Zkąd ta odwaga w obec mnie, który całym światem trzęsę? Pewnie matka was tak nauczyła?

TEOPISTA. Ja tych moich synów przez piętnaście lat wcale nie widziałam a obecnie widzimy się dopiero od kilku dni. Więc nie za moją sprawą są oni tak odważnymi, i nie za moją to sprawą są oni gotowymi ży-

cie położyć za wiarę św., ale za sprawą łaski Bożej.

Hadryan. Kończy się moja cierpliwość. Ofiarujcie bożkom, bo inaczej pomszczę się okrutnie. Przedewszystkiem pozbawię was wszystkich waszych honorów i godności i uważać was będę za prostych żołnierzy i z jako takimi będę się obchodzić.

Wszyscy. Nie będziemy ofiarowali.

Eustachiusz. Przewidywałem co nastąpi, i dla tego wziąłem ze sobą ten wieniec laurowy, którym mnie udarowałeś kilka dni temu. Jestto korona przemijająca bardzo szybko, bo oto już dzisiaj zwiędła.... Weźmij ją sobie! (*rzuca ją pod nogi cesarzowi*). Dla ciebie ona jest! Mnie czeka korona męczeńska, która nigdy nie więdnie a zawsze się zieleni.

Agapiusz. Nie chcę cię trudzić cesarzu, abyś mi sam odejmował godność oficera; ja ją dobrowolnie składam.... Masz miecz, którym mnie przepasałeś (*rzuca pod nogi*). Teraz będę walczył za honor Króla niebieskiego Jezusa, a On lepiej potrafi się odwdzięczyć i do większej godności wynieść, aniżeli marny cesarz rzymski.

Teopist (*ze łzami w oczach i stanowczo*). Weźmij i mój miecz, ty marny puchu, który śmiesz walczyć z Bogiem!... (*rzuca miecz pod nogi cesarza*).... Weźmij ten miecz, którym ja broniłem państwo rzymskie i ciebie, i obróć go przeciwko nam!

Hadryan. Nie!.... Nie mieczem uśmiercę was; bo taka śmierć byłaby dla was za łagodną.... Dzikim zwierzętom każę was rzucić, aby w paszczach swoich porozdzierały na kawałki wasze ciała, a kości wasze pogniotły na miazgę.

Agapiusz. Bóg wyrwał mnie raz z paszczy lwa, to i tym razem mnie nie opuści; a jeżeli jest wolą Jego, abyśmy umierali za Niego, to umierajmy z weselem i z pieniem na ustach.

Hadryan. Niech więc tak będzie! Ponieważ obstajecie przy waszym uporze, i ponieważ nie posłusznymi jesteście prawu państwa i rozkazom waszego cesarza, i ponieważ staliście się winnymi bezbożności, będziecie dzisiaj za karę rzuceni głodnym lwom na pożarcie. Tak chcę, i tak rozkazuję. Żołnierze! związcie ich! Precz z nimi! Lukanie! będziesz kierował spełnieniem mego wyroku! bacz, aby w moich oczach lwy ich szarpały! (*Poczem odchodzi w otoczeniu kilku żołnierzy i oficera Flora do koloseum i za nim postępują westalki itd. itd. Lukan zaś rozkazuje sześciu pozostałym żołnierzom związać skazanych*).

Lukan. Skrępować ich! (*Z zajadłością rzuca się żołdactwo na skazaną na śmierć rodzinę i krępuje; tylko Akacyusz i Antyochiusz trzymają się na uboczu z zachmurzonemi twarzami. Podczas krępowania*) Eustachiusz, Agapiusz, Teopist i Teopista (*śpiewają*):

"Ciebie Boże chwalimy,
Ciebie Stwórcę Wszechmocnego ze wszystkich sił
Tobie Anieli w niebie, [wielbimy.
Nucą: Święty, Święty, Święty,
I bez ustania Ciebie,
Wielbią Boże niepojęty.
Chwała Twa wieczny Panie,
Na wieki nie ustanie." (Dok. nast.)

MĘCZENNICY CHIŃSCY.

Przez **ks. A. W.**

Ciąg dalszy.

— ,,Jesteś młody", mówił dalej urzędnik tając swój gniew i o skutku perswazyi jeszcze nie wątpiąc—,,jesteś młody, — kraśne są twoje lica, siła i moc zdobi twe krzepkie członki; pięknyś — jak drzewo wśród kwicia, silny — jak dąb stuletni wśród burzy. Szczęście ci się uśmiecha, zaszczyty i bogactwa dla ciebie przysposobione, bylebyś tylko sięgnął ręką po nie, a możesz się

słusznie spodziewać życia długiego i wesołego. Podepc krzyż a będziesz wolny. Czy chcesz być mędrszym i lepszym niż wielu z twych współwyznawców, którzy poddali się żelaznej woli króla? Któżby nie chciał okupić życia wypełnieniem ceremonii? Do domu powróciwszy, możesz wyznawać swoję religią według upodobania!"

Na to odpowiedział Michał:

Człowiek pewien dostał na pamiątkę po ojcu zmarłym sygnet z prawdziwymi klejnotami. Pewnego razu przyszedł podróżny do niego i rzekł: czy nie chciałbyś sprzedać pierścienia po ojcu? Dam ci zań wiele innych, zdobnych w prawdziwe kamienie. Wiem, że nieświetny robię interes: lecz niech się stanie! Taka moja wola, chcę być wspaniałomyślnym względem ciebie. Synal dał pierścień przybłędzie, co poszedł sobie w świat, sam zaś idzie uszczęśliwiony do znawcy, aby mu pokazać swe skarby i prosi, aby je ocenił i cieszył się z nim. Znawca zapytał: Jak drogie pierścienie? Skarby twe nie wystarczą na ich zapłatę, rzecze uszczęśliwiony. Ile dasz za nie? Przyjaciel wskazał na instrumencik pojedyńczy ze stali. — Szydzisz ze mnie, rzecze synalek.— Jeszcze za wiele podałem, odpowie znawca, wszystkie są z lichego metalu, a chociaż się świecą, nie wytrzymują próby; ani jeden kamień nie jest prawdziwy. Oszukano cię haniebnie. Powiedz Mandarynie, czy nie był człowiek ten oszukany głupcem?

— Nie można zaprzeczyć, — lecz na co ta przypowieść? zapytał urzędnik.

— I ja byłbym podobnym głupcem, odpowie Michał, gdybym słuchał twej rady, i gdybym zamienił złoto za blichtr, złotą koronę za wieniec ze słomy, wieczność za dni — minuty — sekundy. — Krzyż mam deptać? Cóżbyś powiedział, gdyby ci kto kazał zdeptać obraz króla, któremu zawdzięczasz godność i nagrody? A ty żądasz odemnie, abym znieważył obraz Króla Nieba, którego czczę? Niechaj inni zdepcą krzyż, to mnie tak mało obchodzi, jak dzielnego żołnierza ucieczka tchórzliwego towarzysza. Chociażby wszyscy opuścili prawego króla, my go nie opuścim, my pójdziem za jego chorągwią, i będziemy z nim walczyli do upadłego. Śmierć albo zwycięstwo, to nasze hasło. Ostatnią kroplę krwi przelejem za niego. Jeżeli inni dali zły przykład, to naszą jest powinnością, naprawić to; pokazać światu, kogo czcimy i kochamy; dowieść, iż wiara Chrystusowa daje męztwo. My mielibyśmy się obawiać śmierci?! Nawet wasze własne księgi piszą, że śmierć jest próbą wierności, a w księdze mędrca Manh-Tu stoji: ludzie lubią mięso niedźwiedzie i rybie, dobrze jest mieć jedno i drugie; lecz kiedy tylko jeden wybór, wybiera się mięso niedźwiedzia. Lubią sprawiedliwość, lecz lubią też i życie a kiedy trzeba uczynić wybór, trzeba dać życie za sprawiedliwość.

Na to zbladł Mandaryn, milczał chwil kilka jakby mu język skostniał, a potem zawołał, machając pięścią:

"— Dobrze! więc pokaż twe bohaterstwo, stwierdź czynem twe słowa! Nuże kaci! do dzieła!"

Niezadługo sączyła krew kroplami z całego ciała, spadając jak kwiecie z jabłoni, gdy je wicher strząsa; żadnego jęku, żadnego westchnienia nie wydał srodze katowany, — ale stał jak posąg nie okazując żadnej bojaźni, tylko po przebytej bolesnej egzekucyi rzekł z zachwycającym spokojem:

— Miło mi bardzo! już walka rozpoczęta. Pobudka zabrzmiała — cudnie jej głos dochodzi mych uszu. Niech Dowódzca, Pan mój, ożeźwia me męztwo. Chętka mnie bierze do boju, jak rumaka, co kopytem iskry z krzemieni krzesze, wędzidło przygryza oczekując chwili, w której mu wojak dzielny cugli popuści."

Obudwóch więzni odprowadzono do więzienia.



Synowie Jakóba sprzedawszy Józefa kupcom podróżnym, umoczyli suknię jego w krwi koźlej i posłali ją ojcu, i kazali mu powiedzieć: ,,Znaleźliśmy tę suknię, oglądaj, czyli jest suknia syna twego, lub nie?" Ojciec poznawszy ją, zawołał zaraz żałośnie: ,,To suknia syna mojego; zwierz okrutny pożarł Józefa!"

IV.

W ciemnem, wilgotnem więzieniu, gdzie niebyło żadnego i najpotrzebniejszego sprzętu, siedział Antoni Dich starzec w dybach, w kajdany ciężkie okuty z spuszczoną głową, wspominając sobie dni dawnego szczęścia — dawnej swobody. Wtem przybyło kilku pogan, co chciało złamać jego stałość i męztwo. ,,Głupcze!" rzekł jeden z nich, gdyby na nogach mych ciążyły kajdany, a mógłbym je strząść z siebie pod warunkiem, by zdeptać Buddy obraz, nie wachałbym się i na chwilę."

— ,,Zdepc liczbę Dziesięć nogami", — rzecze drugi, albo udawaj, jakbyś to uczynił, to przez to nie znieważysz Boga twego."

,,Któżby to słyszał, aby rozumny człowiek porzucał wygodne mieszkanie, a obierał za dom jaskinię; aby porzucał gody królewskie, a kontentował się prostą strawą parobka; poddawał kark pod miecz, mogąc się jedynym jednym krokiem ratować? — Pomnij starcze! że dyby są ciężkie, że kajdany tłoczą, że rózgi i batogi ranią, że stryczek haniebny, miecz ostry a życie słodkie i przyjemne". Tak prawili mu poganie.

Daleko więcej wpływu, a niżeli ci, robili na starcu bojaźliwi chrześcianie fałszywem ulitowaniem ujęci.

— ,,Czyż Apostołowie Zbawiciela nie opuścili, nie z złości ale z ludzkiej bojaźni? Czyż Piotr nie zaparł się Pana po trzy razy? A jednak dobry pasterz przyjął ich znowu, gdy do jego trzody przybyli; a jednak spojrzał Pan na księcia Apostołów widząc go płaczącego. Czyż chcesz być od nich lepszym? — któżby chciał badać miłosierdzie boskie? — Czy nie mamy tajemnicy, co grzechy gładzi? Czy nie ma lekarstwa na trąd i wrzody i na jadowite ukąszenie węża?"

Wtedy to staczały bójkę natura z religiją, zaślepienie z przekonaniem — bójkę okropną w starcu, a żadne nie zwyciężyło. Sam na sam zostawszy tak swe żale z głębi serca rozwodzi.

,,Jest ze mną jak z drzewem, w które piorun uderzył, rozdarłszy korę jego. Wichry zdrzuzgotały konary, zmiotły zieleń, kwicie mróz zwarzył, a robak toczy i rdzeń i pień jego. — Niegdyś żyłem i ja w mej całej wspaniałości. W pełnym majestacie sterczała ma korona — szeroko i daleko — jak dach królewskiego pałacu rozchodziły się moje konary z cudną zielenią i kwiatem na gałązkach, a silnym był odziomek, a głęboko w ziemię sięgały korzenie! Naokół mnie stały nadobne drzewka, co wypuściły z moich korzeni z cudownem kwieciem, z cudownym owocem. — Któż mi te czasy wróci! — kto uchroni pień stary od upadku, gdy piorun weń uderzy, gdy wichry zawyją w jego konarach, gdy słoń ogromny o niego się oprze? Ach! gdybym to był takim jak niegdyś".

W tej chwili wszedł kapłan, co otrzymał pozwolenie, odwiedzać wszystkich więźniów.

,,Cóż to, dla Boga! — rozpoczął — ,,Ojca mego czoło ponure—otacza je chmura — oko jego podobne do gwiazdy mgłą okrytej, twarz blada jak pierze łabędzie, a nogi jego drżą jak łani na widok tygrysa!"

,,Starcze podnieś zgrzybiałą głowę do Nieba, gdzie jest Ojciec nas wszystkich — co i na cię miłościwie spogląda, — przenieśmy się do Ogrojca, gdzie Zbawiciel nasz krwawy pot wylewa, z śmiercią walczy — a poci się i walczy za nas; idźmy do Getsemane i módlmy się: nie jak ja, ale jak Ty chcesz o Boże! niech się Twoja św. wola stanie! Może tam spotkamy Anioła, co nas pokrzepi. Idźmy za krzyżem ulicami po Jerozolimie, a może spotkamy Szymona. Wstąpmy na Golgotę, pokrzepić nasze zamiary, przedsięwzięcia, wzmocnić nasze męztwo i odwagę — rozżarzyć naszą miłość przy sercu Ukrzyżowanego!"

Gdy tak mówił kapłan, spadały, jak rosa z lilii, łzy po jagodach starca.

Teraz wszedł Michał do zgrzybiałego więźnia, któremu kapłan swą niesłychaną dobrocią i uprzejmością u Mandaryna tę łaskę wyjednał, a dowiedziawszy się, o co chodzi, tak przemówił:

— ,,Ojcze drogi! Zważcie na waszą starość! dni wasze są już krótkie i policzone. Dwa rodzaje śmierci przed Wami, naturalna, której skutki nie wiadome, druga, którą wam prześladowcy gotują a zapłata tejże, szczęśliwa wieczność. Czemuż się jeszcze ociągacie z wyborem, gdzie tak namacalna korzyść? Gdyby mi było wolno, pod pewnemi warunkami żałować życia — to mnieby się raczej godziło, mnie młodemu i silnemu, ale patrz Ojcze, ja je chętnie dam Bogu na ofiarę, dzieci wasze wszystkie dorosłe — zaopatrzone".

,,Już im nic nie pomoże wasze dłuższe życie, ale wasza śmierć męczeńska będzie dla nich przedmiotem czci i uwielbienia. Ja porzucam żonę w kwiecie wieku i czworga dziatek, Ojciec zaś niebieski, który mi je dał, nie zapomni o nich, a z Nieba, gdzie się wkrótce dostaniemy, strzedz ich będziemy naszemi modły. — Czy drzycie przed knutem? Nie drzyjcie, mój Ojcze! ja te razy, co wam Mandaryn wyznaczy, za was odbiorę. Bądźmy dobrej myśli a odważnego serca! Teraz musimy dać dowód, żeśmy prawdziwi Chrześcianie, którzy potrafią za Pana Jezusa życie położyć, jak On je za nas ofiarował".

— ,,Jak rycerz chrześcianin przemówił mój brat Michał". — rzekł kapłan. — ,,Ojcze! masz przed sobą palmę; tylko ci po nię sięgnąć trzeba, doszedłeś już do bram Nieba, więc już się nie cofaj! Nie opuszczaj nas Ojcze, myby tak radzi chcieli cię z sobą zabrać".

— ,,Tu macie mą rękę, towarzysze niedoli! nie rozejdziem się. Męztwo moje było nieco zachwiane, ale nie złamane. Łaska Pana podniosła je znowu a chwiejącej trzcinie nadała moc dębu. Wspólnie cierpieć będziem, wspólnie dojdziem do Nieba", rzekł starzec Dich, — a sojusz święty był zawarty.

— ,,Ojcze!" rzekł tedy kapłan, —,,zgotuję ci radość tak, jak Ty nam ją sprawiłeś. Opowiem ci o szlachetnym czynie twego syna To, o którym mi Mandaryn opowiedział. Mającemu patrzeć na twe cierpienia i śmierć okropną, serce się krajało. Przeto zgromadził swe skarby i z niemi czemprędzej udał się w podróż. Do Mandaryna przyszedłszy, padł mu do nóg z gałązką w ustach. Tu z rozczulającą rzewnością rzekł: ,,,,Ojciec mój wtrącony do więzienia, jest słaby, zgrzybiały starzec, ja zaś jestem krzepki i młody jak widzisz. Uczyń mi tę jedyną łaskę, a do zgonu ci wdzięczen będę! Każ zdjąć z mego Ojca dyby i kajdany i na mnie je włożyć: Niech się moja krew leje a nie starca! Niech go zastąpię. Ojcu zawdzięczam życie i mienie, jest więc moim obowiązkiem, jemu się wywdzięczyć. Długo przezemnie oczekiwana sposobność do tego, teraz się nadarza. Coby mnie nie dostawało, to niech zastąpią te ośm brył złota"". Tak mówił syn twój".

,,A mandaryn mu odpowiedział. ,,,,Jesteś dzielny syn. Fo [bożek] niech cię błogosławi za twe dobre serce, ale na twe prośby i przedstawienia przystać nie mogę. Minh-Menh, któremu znane jest uwięzienie Ojca twego, srożyłby się na to, gdyby się o oswobodzeniu jego dowiedział; za mój urząd i godność i szelążka by nie dano, gdybym był sprzedajnym, a miałbym wtedy tyle bezpieczeństwa ile ma jagnię w pazurach lwa. Radzę ci tylko, abyś Ojca twego do odstępstwa przywiódł. Innej drogi nie znam"". — Wtedy oddalił się z płaczem syn twój".

,,Poznaję po tem, że jest mej żony bratem", odpowiedział Michał.

,,Dziatki! pociecho mej starości! wasz Ojciec w obec takiej wspaniałości postąpi sobie godnie" — odpowiedział starzec.

Ciąg dalszy nastąpi.

PRZYJACIEL DZIECI.

Następne stronice poświęcimy wyłącznie dla dzieci i pod powyższym tytułem zamieszczać będziemy nauki dla dzieci, krótkie powiastki moralne, piękne przykłady z historyi polskiej oraz zachęcać będziemy naszych małych przyjaciół, naszą dziatwę kochaną, aby po Bogu nadewszystko kochała rodziców, ojczyznę i mowę polską.

MAŁY ROBINSON

W PUSZCZY AMERYKAŃSKIEJ.

Ciąg dalszy.

IX.

Nocleg w lesie. — Sny Janka. — Małpy wyjące. — Przybycie do osady San Miguel. — Wielkie zmartwienie.

Pan Wojciech zabrał się do urządzenia noclegu. Sciął najpierw dużym nożem, który miał za pasem, dwie długie tyki, wbił je w ziemię, potem oparł na nich w poprzek trzecią tykę, a na tej zawiesił jeden brzeg swojej kołdry, umocowując ją sznurami, drugi brzeg przeciwny wyciągnął i uwiązał na krótkich kołdrach, także w ziemię wbitych, w pewnem oddaleniu od wysokich tyczek. Tym sposobem urządził rodzaj namiociku. Nazbierał dużo miękkich liści, usłał wygodne posłanie pod tym namiocikiem, ułożył na niem Janka i przykrył go mniejszą kołderką, która mu za czaprak służyła. Sam zaś rozpalił ognisko, usiadł przy niem na kamieniu i zadumał się głęboko. Spotkanie z tem dzieckiem nadzwyczajne wrażenie wywarło na starym wojaku. Dźwięki mowy ojczystej, niesłyszane od lat wielu, tysiące rzewnych uczuć zbudziły w jego sercu. Nie mógł usnąć i prawie przez całą noc tak przesiedział, to wpatrując się w płomień ogniska, to spoglądając na leżącego chłopczyka.

Janek usnął prędko na wygodnej swej pościółce, sny miał tej nocy bardzo przyjemne; zdało mu się, że był w rodzinnym kraju, w tej wiosce Sosnówce, gdzie spędził pierwsze lata dzieciństwa. Matka dawała mu w rękę koszyczek i wyprawiała do lasu po poziomki, upewniając, że nie zabłądzi, bo w lasku jest ścieżeczka wygodna. Ale on pomimo to nie miał ochoty odchodzić od matki i wolał zostać z nią w ogródku. Nie było tam żadnych okazałych roślin zwrotnikowych, ani świetnych kwiatów, a jednak Jankowi ogródek ten wydawał się we śnie taki piękny, jak raj ziemski.

A w tem nagle do tego cichego ogródka wpadły jakieś straszliwe potwory, jakby smoki olbrzymie z rozłożonemi okropnemi skrzydłami, było tego wielkie mnóstwo i wszystko to ryczało, wrzeszczało takim głosem, że aż ziemia zaczęła się trząść i Janek, przerażony, krzyknął także i.... przebudził się. Usiadł na pościółce, przetarł oczy, wyjrzał z namiociku; zamiast ogródka sosnowieckiego, ujrzał las zwrotnikowy, ponad jego głową powiewały wyniosłe wierzchołki drzew, przed namiocikiem stał pan Wojciech, smoków nigdzie nie widział, a jednak wrzaski i ryki odzywały się tak straszliwie, jak i we śnie. I teraz zdawało się, że się ziemia trzęsie od tego okropnego hałasu.

Janek opamiętał się prędko, znał on dobrze te ogłosy, ale nigdy ich jeszcze nie słyszał tak blizko siebie. Gdy przebywał u dzikich ludzi, często z głębi lasu, o świcie lub wieczorem o zmroku, odzywały się takie przeraźliwe wrzaski, a Palma Wysmukła powiedziała mu, że małpy tak hałasują, też same małpy, które mąż jej przynosił z lasu zabite. Janek jednakże nie dowierzał temu, jemu się zdawało, że to muszą być jakieś ogromne zwierzęta, bo zkądżeby nieduża małpa taki głos mieć mogła? Teraz prze-

konał się, że tak było naprawdę, bo pan Wojciech, widząc go przebudzonego, mówił:

— Chciałem cię właśnie budzić, chłopaku, aż tu małpy mnie wyręczyły. Ach, cóż to za hałas! aż uszy bolą. Wstawaj, wstawaj, zobaczysz, jak zabawnie wyglądają; widać ztąd całą bandę doskonale.

Zerwał się Janek i wybiegł z namiocików, a pan Wojciech pokazał mu gromadkę małp, usadowionych w pobliżu na drzewach. Tak zabawnie wyglądały, że chłopczyna nie mógł się wstrzymać od śmiechu. Były to małpy dość duże, ciemno-kasztanowate, obrośnięte dokoła głowy, brodate i napuszone. Siedziały bardzo poważnie na gałęziach i przeraźliwie krzyczały. Ale w tych krzykach był jakiś osobliwszy porządek; jedna małpa musiała przewodzić innym, bo jeden głos podnosił się najdonośniej, a wszystkie mu wtórowały, to znów milkły, jakby na komendę.

— I co one sobie myślą, te pocieszne małpy — mówił Janek, zatykając uszy, bo hałas był taki straszny, że trudno było wytrzymać — im się pewnie zdaje, że one jakiś prześliczny koncert śpiewają. Ach! co za wrzask! że też one sobie gardła nie pozrywają.

— Ba! muszą mieć jakieś niezwyczajne gardła — mówił pan Wojciech — pamiętam, spotkałem kiedyś podróżnika Anglika; był to człowiek bardzo uczony, mówił mi, że taka małpa ma w gardle kość nadzwyczajnie rozdętą, a to jej dopomaga do wydawania tak potężnego głosu.

Pan Wojciech miał słuszność, amerykańska małpa wyjąc ma rzeczywiście gardło szczególnym sposobem rozdęte, na kształt jakiejś trąby. Niewiadomo jednak, dla czego te zwierzęta, zbierają się gromadami i takie straszne wyprawiają hałasy. Krzyczą zwykle rano o świcie, wieczorem, a także przy zmianach pogody. Są wyjce kasztanowate i czarne.

— Ach, ach! niechno pan patrzy, panie Wojciechu, co one robią — zawołał Janek.

Jedna małpa zeskoczyła nagle z drzewa, ale nie na ziemię, bo uczepiła się mocno końcem ogona do gałęzi i bujała się w powietrzu, głową na dół. Parę innych zawiesiło się tak samo ogonami, wyglądało to bardzo zabawnie.

— To ich zwyczaj — rzekł pan Wojciech z uśmiechem — one najczęściej śpią tak w powietrzu, kołysząc się, jak gruszki pouczepiane na drzewie. Mają bo też wyborne ogony do tego, długie, a giętkie, jak lina.

Janek podstąpił bliżej z panem Wojciechem, ażeby się lepiej tym dziwnym małpom przypatrzeć, alo one musiały posłyszeć szelest ich kroków wśród suchych liści i wnet cała gromadka w szalonych susach, przeskakując z gałęzi na gałąź, umknęła szybko i ukryła się w głębi lasu.

— Ho, ho! nie łatwo je podejść — rzekł pan Wojciech — strasznie to licho jest płochliwe; a miałem ochotę ustrzelić choć jedną, bo to ładne futerko, można nieźle sprzedać w mieście.

Obaj nasi podróżnicy posilili się kawałkiem zimnej pieczeni, napili się wody ze zdroju, wsiedli na koń i wyruszyli dalej.

Żadna nadzwyczajna przygoda nie przytrafiła im się przez dzień cały. Parę razy pan Wojciech, spostrzegłszy ślady zwierzyny, miał ochotę zapolować, ale wyrzekł się tej przyjemności, ażeby czasu nie tracić i zdążyć prędzej z Jankiem do europejskiej osady San Miguel.

Słońce zniżało się ku zachodowi, gdy ujrzeli sterczące pnie wyrąbanego lasu, a Janek z nieopisaną radością poznał to miejsce; ztąd już bardzo niedaleko było do owej Leśniczówki; gdzie mieszkali jego rodzice.

Chłopczyna chciał zeskoczyć z konia, bo mu się zdawało, że prędzej dobiegnie pieszo, ale go pan Wojciech powstrzymał, a widząc niecierpliwość jego, popędził konia i puścił się szybkim kłusem.

Wkrótce ukazały się domki drewniane osadników, porozrzucane w znacznej odległości jeden od drugiego, każdy bowiem właściciel miał swój grunt osobny i kawał lasu do karczowania. Janek upewniał pana Wojciecha, że teraz nie zabłądzi i trafi wprost do mieszkania rodziców, wskazywał mu ścieżkę, tam prowadzącą. Ale pan Wojciech pokręcił tylko na to głową i zatrzymał się przy jednym z pokaźniejszych domów, mówiąc:

— Rodzice tak długo czekali na ciebie, mój chłopcze, że mogą jeszcze chwilkę poczekać, a roztropniej będzie dowiedzieć się wprzód od obcych ludzi, co się z nimi dzieje. Ja tu nocowałem u tego osadnika, wiem, że mnie przyjmie gościnnie, a jak tylko się rozpytamy o twoich rodziców, natychmiast do nich pospieszymy. Słyszałem, że z wielkiej, niespodziewanej radości można czasem zachorować, a jeśli matka twoja nie jest bardzo silna i zdrowa, to lepiej może będzie, ażebym sam poszedł naprzód i uprzedził o twojem przybyciu rodziców.

Jankowi to wszystko wydawało się niepotrzebne, nie pojmował, dlaczegoby matka zachorować miała, ujrzawszy go niespodzianie, ale nie śmiał sprzeciwiać się panu Wojciechowi. Weszli więc obaj do mieszkania osadnika, zastali go w domu, a pan Wojciech zaczął z nim rozmawiać w holenderskim języku, bo to był Holender.

Janek nie rozumiał tej rozmowy, ale domyślił się czegoś niedobrego, gdyż pan Wojciech spojrzał na niego jakimś zasępionym wzrokiem, położył rękę na jego główce, a zamiast spieszyć dalej do Leśniczówki, nie tracąc czasu, jak był obiecał, usiadł na ławie i wciąż z osadnikiem coś mówił, a do Janka ani się odzywał.

Serce biednego chłopczyka boleśnie się ścisnęło, sam nie wiedział, czego się obawiał. Myśli plątały się dziwnie w jego główce, czuł tylko, że gdyby wszystko było dobrze, gdyby rodzice wyglądali go z upragnieniem na Leśniczówce, pan Wojciech powiedziałby mu to odrazu. Nie mógł się w końcu powstrzymać i wybuchnął głośnym płaczem.

— No, no, cóż ci to chłopcze — rzekł pan Wojciech, biorąc go w objęcia i sadzając na kolanach — domyśliłeś się z mego milczenia, że nie wszystko się tak składa, jakeśmy sobie ułożyli. Ale nie płacz, nie ma znów nic tak bardzo złego. Rodzice twoi rozpaczali strasznie po twojem zniknięciu, przez czas długi nadaremnie szukali cię po lesie, a gdy nawet śladu najmniejszego nie znaleźli, przekonani byli, że cię zwierzęta dzikie pożarły. Matka zachorowała ze zgryzoty, a ojciec powiedział, że niema już dla kogo pracować po stracie jedynego dziecka i postanowił powrócić do kraju, aby tam pomiędzy swoimi smutnego życia dokonać. Matka długo się temu opierała, nie mogła się oderwać od tego miejsca, ze strasznym żalem powtarzała, że gdyby przynajmniej szczątki ukochanego dziecka odszukała, wyjechałaby spokojniejsza i zgodziłaby się z wolą Bożą. W końcu jednak ojciec ją uprosił i odpłynęli statkiem parowym po rzece, udając się do portu Panamaribo. Stamtąd mieli odpłynąć do Europy.

— Odpłynęli bezemnie! — wołał Janek z boleścią — może już są w Sosnówce! O, mój Boże, co tu robić, co robić!

— Przedewszystkiem nie rozpaczać — rzekł pan Wojciech — czy już odpłynęli do Europy, to jeszcze niewiadomo. Stąd wyruszyli dopiero przed trzema tygodniami, a w porcie nie codzień przecież nadarza się

sposobność odpłynięcia do Europy. Bardzo być może, że są jeszcze teraz w Panamaribo.

— A więc i my tam jedźmy czemprędzej — zawołał Janek, nową nadzieją ożywiony.

— Ba! gdybyż to mój konik poczciwy mógł się zmienić w ptaka — odrzekł pan Wojciech — ale nie zapominaj o tem, że stąd do Panamaribo to podróż nielada. Rozpytywałem się właśnie, czy często statki żeglują po rzece Surinamie, możeby marynarze zechcieli cię zabrać z sobą, ale powiadają, że w tej porze roku czasem i parę miesięcy czekać trzeba na statek.

— A więc cóż będzie, panie Wojciechu? — ozwał się Janek żałośnie.

— Będzie, co Bóg da, moje dziecko. Ja cię nie opuszczę i uczynię wszystko co będzie w mojej mocy, aby cię oddać w ręce rodziców. Dla mnie wszystko jedno, w którą stronę powędruję wszędzie znajdę zwierzynę i paszę dla konia, chętnie więc teraz puszczę się z tobą do Panamaribo. Musisz się jednak przygotować na to, że podróż potrwa długo. Konisko moje musi odpoczywać po drodze, a i my nie możemy jechać bez wytchnienia. Ponieważ jednak innej rady niema, uzbrój się chłopcze w cierpliwość.

Westchnął biedny Janek, ale zrozumiał, że pan Wojciech miał słuszność, innej rady rzeczywiście nie było. Ciąg dalszy nastąpi.

Słowa świętego Efrema.

Święty Efrem, dyakon z Edessy w Syryi wyszedł razu pewnego z dwoma towarzyszami do miasta — a spojrzawszy w niebo zasiane gwiazdami, zawołał w zachwycie:

— Jeżeli blask tych ciał niebieskich jest tak wspaniały, jakże wspaniały będzie blask ciał wybranych Bożych na sądzie ostatecznym!

A po chwili dodał:

— Drżę na samo wspomnienie owego dnia strasznego, gdy Pan Majestatu przyjdzie sądzić żywych i umarłych! Ach, w jakimże stanie będzie wtenczas dusza moja? Jakże się pokażę przed obliczem surowego sędziego, ja nędzny grzesznik, pełen pychy pośród pokornych, kozioł między owcami, drzewo uschłe nie wydające owoców, pośród tych, co godne pokuty owoce czynili? Męczennicy pokażą swe rany, zakonnicy swe cnoty a ty, — mówił do siebie, — ty grzeszna duszo, nie okażesz nic prócz oziębłości i pychy?

— O straszny dniu — mówił tenże do słuchaczów. Biada mi! biada! Któż się waży opisać, kto słowy wyrazić, kto słuchać bez trwogi tego, co w on dzień nieszczęsny dziać się będzie?! O, płaczcie ze mną wszyscy, którzy łzy macie; a którzy ich nie macie, słuchajcie, jaki los was czeka i dla tego nie zaniedbujcie sprawy zbawienia! W owym dniu ludzie odłączą się na wieki: biskupi od biskupów, kapłani od kapłanów, dzieci od rodziców, przyjaciele od przyjaciół! A po onem bolesnem rozłączeniu wołać będą potępieni do wybranych:

— Żegnamy was na wieki święci słudzy Boży! Żegnajcie nam rodzice, dzieci przyjaciele — żegnajcie! Żegnajcie prorocy, Apostołowie, męczennicy! Żegnaj nam na wieki i Ty Najświętsza Panno, Matko Boża! Wyście się modlili za nami, lecz my sami nie chcieliśmy się zbawić! Żegnaj nam i ty, o święty, święty i życiodajny Krzyżu — żegnaj prześliczny raju rozkoszy i szczęścia! Już cię nigdy, nigdy nie zobaczymy! Oto już, już zapadamy się w przepaść piekielną, z której już nie ma nadziei ratunku!....

Tak mówił płacząc i jęcząc św. Efrem — a lud drżąc z bojaźni i płacząc gorzkiemi łzami, do Boga się nawracał.